Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 17.

dnia 27. Marca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

Pewnego dnia nasz przyjaciel przyniósł dwie spore flaszki z lekarstwami, a dając je dziewczynie w przytomności Róży, powiedział jej co ma z niemi czynić. Płyn w ciemnej flaszce zawarty, był przeznaczony do użytku zewnętrznego, lekarstwo zaś we flaszce jaśniejszej, miała chora przez noc wyżyć. Gdy nazajutrz przyszedł o zwykłej godzinie, zastał Krystynę umierającą. Nie rozumiejąc jakaby tego była przyczyna, zaczął badać najpierw nieznajomego, potem dziewczynę, lecz oboje nic nie widzieli. W tem Róża się zjawiła.

— W jaki sposób dawałaś chorej lekarstwo? — zapytała Ołenę.

— Tak, jak pan doktor kazali.

— A więc powiedz jak?

— Z tej flaszki — tu pokazała na jasną — robiłam nacieranie, a z tej ciemnej dałam jej wszystko wypić.

— Boże! — krzyknął Ryszard — ona ją struła! Jakże mogłaś coś podobnego uczynić — dodał ku dziewczynie się obracając — skoro te same lekarstwa już nieraz tu przynosiłem?

Dziewczyna podniosła na mówiącego oczy bez wyrazu, lubo teraz trochę wystraszone i głosem dość spokojnym odpowiedziała:

— Ta ja zabuła (zapomniałam) proszu pana doktora.

Nasz przyjaciel porwał się za głowę z rozpaczą. Jakże sobie wyrzucał, że lekarstw nie powierzył samemu gospodarzowi domu, lecz z drugiej strony czy mógł nieszczęście przewidzieć, skoro Ołena dotąd tak sumiennie wszystkie jego polecenia spełniała? Ponieważ chorej coraz było gorzej, więc aby czasu nie tracić, cwałem pobiegł do domu, zkąd natychmiast po nowe lekarstwa wyjechał. Tak był przerażony, że wybiegając nawet się z Rózią nie pożegnał. Ona za złe mu tego nie wzięła, i według zwyczaju popołudniu przyszła na Ekonomówkę.

Krystynie trochę się polepszyło; Ryszard na krok jej nie odstępował. Ujrzawszy Różę przywitał ją swobodniejszym nieco uśmiechem, i czułemi słowy przeprosił za nieuwagę jakiej się rano dopuścił. Odpowiedziała, że chora była ważniejszą osobą niż ona, i na dowód zupełnego przebaczenia, silniej niż to dotąd było u niej w zwyczaju, rękę mu ścisnęła. Naszemu przyjacielowi krew zbiegła się do serca, i on sam nie wiedząc co czyni, podniósł do ust pulchną rączkę i gorący na nich pocałunek wycisnął. Pierwszy to raz dopiero w rękę ją pocałował... Gdyby teraz na nią patrzył, byłby na jej twarzy postrzegł zachwyt i trwogę, nadzieję i rozpacz, szczęście i boleść! Wszystkie te uczucia jak błyskawica po jej rysach przeleciały, zostawiając po sobie tęskną zadumę. Usiadła na ławce obok chorej i przez okno, które było naprzeciwko, żałośne wejrzenie w dal puściła.

Wkrótce potem szli razem ku kładce. On był weselszy, swobodniejszy, bo miał nadzieję ocalić Krystynę; ona szła obok niego smutna, zamyślona i jakby strwożona. I zdawało się jej, że ta ścieżka prowadzi nie do jej domu, lecz gdzieś w świat daleki i nieznany, w przyszłość straszną i ciemną, a równocześnie tak ponętną,

tak ukochaną, że choćby mogła, nie cofnęłaby się z tej drogi...

Ryszard widząc ją w takim nastroju, a chcąc wywołać uśmiech na jej usta, przemówił:

— Już to prawdę powiedziawszy, dziś od samego rana wiedziałem, że mnie spotka jakaś wielka nieprzyjemność, bo trzeba pani wiedzieć, że jestem trochę zabobonny.

— Doprawdy? Nie byłabym się tego spodziewała. Z takim naciskiem zwykłeś pan mówić, że jesteś człowiekiem zimnym i pozytywnym...

— Bo w rzeczy samej takim jestem, ale ponieważ człowiek składa się z dwóch „ja“ z których jedno nim kieruje, a drugiem on, przeto i ja powodując się temu pierwszemu „ja“ wierzę czasami nawet w takie rzeczy, których mój rozum nie umie wytłumaczyć.

— Czy przypadkiem nie w sny?

— Jeszcze gorzej... Czy dałabyś naprzykład pani wiarę, że dziś od rana dla tego spodziewałem się nieprzyjemności, iż ubierając się stanąłem na posadzce najpierw nogą lewą, następnie dostał mi się w rękę najpierw bucik także z lewej nogi, ale co najważniejsze, że stanąwszy w oknie, pierwszą osobą, jaką ujrzałem, był pejsaty Moszko.

— I pan to sobie tak źle wytłumaczyłeś?

— Jak najgorzej. Widok żyda jest mi zawsze wstrętny, tem bardziej na dzień dobry.

— Dlaczego, jeźli wiedzieć wolno? — zapytała nieśmiało i głosem lekko drżącym.

— Bo kiedy żydzi nic dobrego ludzkości nie przynoszą, więc i ja sam nie mogę spodziewać się od nich przyjemności... To też ilekroć mogę, unikam tych panów.

— Czy ich pan za tak złych uważasz?

— Uważam ich za siłę rozkładającą organizm społeczeństw chrześcijańskich, nic więc dziwnego, że siły, która jest zgubną dla mnie, jako chrześcijanina, nie mogę ukochać. Zresztą co warci ludzie, którzy nie mają żadnych wyższych celów, żadnych ideałów?

— A jednak zdaje mi się że i między nimi są wyjątki...

— Przyznaję że są, lecz niestety tak ich jest mało, że wśród masy innych bez śladu giną. Trudno więc dla nielicznych wszystkim przebaczyć.

— Przebaczenie jest cnotą tak piękną!

— Bardzo piękną, nie przeczę, ale nie żądajmy znowu od człowieka więcej niż od samego Boga. Jeźli pani sobie przypomina historję Sodomy i Gomory, to stoi tam wyraźnie, że Bóg, aby tym miastom przebaczyć, żądał z początku przynajmniej 50 sprawiedliwych i dopiero na usilne Abrahama prośby przystał na dziesięciu. Jeźli tedy dla ocalenia dwóch miasteczek, liczących razem ledwie kilka tysięcy mieszkańców, potrzebował sam Bóg 50 sprawiedliwych, to ileż ja, nie będący jako człowiek najwyższem miłosierdziem, musiałbym znaleźć żydów prawdziwie zacnych, by dla nich miljonom innym przebaczyć? W samej Polsce musiałbym ich chyba na tysiące naliczyć, gdyż wszystkich, Galicję w to włączając, mamy ich już blisko dwa miljony.

Róża milczała. Co się działo w duszy biednego dziewczęcia, Bóg wie jeden! Może powinna była zmienić przedmiot rozmowy, lecz siły nie miała. Ona przeciwnie życzyła sobie, by jeszcze więcej mówił o żydach, jak gdyby z jego słów chciała swoją przyszłość wywróżyć... W ogniu niechęci, który w jego duszy płonął, mogła się spalić, a jednak jak ćma leciała w ten płomień...

— A co pan sądzisz o żydówkach? — po chwili zapytała głosem tak cichym, że ledwie ją usłyszał.

— Na moje szczęście żadnej dotąd bliżej nie poznałem, wszakże zdaje mi się, że i one nie wiele od mężczyzn odbiegają. Prawdę mówi nasze stare przysłowie, że jabłko nie pada daleko od jabłoni. Krew zostaje krwią, rasa rasą.

— I sądzisz pan, że między niemi nie znalazłbyś dziewicy z wyższym polotem, tęskniącej do ideałów, umiejącej wierzyć, poświęcać się bezinteresownie i kochać?

— Przynajmniej wątpię...

— Ale czemu panie, czemu?

— Bo nie słyszałem, żeby się takie teraz znajdowały, a w ich księgach świętych podobnego typu dziewicy także nie znalazłem. Jeźli więc nie ma go nawet w starym Testamencie, który jest przecie streszczeniem genjuszu Izraela, to czyż można żądać by był w rzeczywistości?

— Więc pan byś nie mógł żydówki pokochać?

— Na to szczególne zapytanie odpowiem ci pani słowami jakiegoś autora, którego już bardzo dawno jak czytałem. Kochał się on szalenie w żydówce hiszpańskiej i siedząc wieczorem w Sewilli, nucił jej pieśń miłości. Kiedym patrzył w jej oczy — mówił — zdawało mi się, że jestem

w niebie Mahometa, a kiedym jej usta całował, zapominałem o Bogu. I pytałem ją czy kocha mnie nawzajem, czy chce ze mną znosić ból i trud życia, czy zostanie moją gwiazdą przewodnią. A kiedy rozmarzony proszę o odpowiedź, ona zapatrzywszy się w moją rękę woła: Ach! ty masz fałszywy brylant w pierścieniu!...

— Ach! — jęknęła Róża w tejże chwili.

— Czyś się pani potknęła? — Ryszard zapytał.

— Nie panie... coś mnie tylko w piersiach ukłuło.

Idąc i rozmawiając ani postrzegli, kiedy kładkę minęli. Teraz znajdowali się ledwie o kilkanaście kroków od pierwszej chaty, należącej już do Woli Ludaczowskiej.

— Dziękuję ci panie — rzekła Róża, obracając się ku Ryszardowi — że raczyłeś mnie tak daleko odprowadzić... Dziękuję ci również za wszystkie chwile przyjemne, które aż po dzień dzisiejszy w twojem towarzystwie spędziłam i błagam cię byś jak najprędzej zapomniał, żeś mnie znał kiedy...

Ukłoniła się zdaleka i chwiejnym krokiem odeszła. Nasz przyjaciel jej słowami zpiorunowany, został na dawnem miejscu, nie wiedząc czy za nią biegnąć, czy do domu wrócić. Co mogło znaczyć to jej dziwne pożegnanie? Pociągnął ręką po zimnem czole... zbierał myśli rozpierzchłe. Przypominał sobie całą dzisiejszą rozmowę; słowo po słowie mógł ją powtórzyć... Wszak jej niczem, niczem nie obraził! I ona też wyglądała nie jak osoba obrażona, lecz raczej cierpiąca, którą wewnętrzny ból przygniata. Podniósł głowę i spojrzał przed siebie. Jej nie było już widać, zginęła za drzewami na drogi załomie. Przed nim wieś się ciągnęła, na jej końcu stał pałac Sterna. Oko wlepił w jego mury i brwi zmarszczył. Myślał, coś sobie przypominał... Dnia poprzedniego ojciec mówiąc przy herbacie o Sternie, nie mógł się dość nachwalić jego córki, która ma być wychowana zupełnie po polsku, tak że niktby się w niej żydówki nie domyślił... Ryszard w czoło się uderzył.

— Boże! to ona! — jęknął — i jam ją tak znieważył!

Ona tymczasem szła krokiem wolnym. Nogi pod nią się uginały, niekiedy ręką płotu się chwytała, żeby nie upaść. *Neptun* niezmiernie tem zdziwiony podchodził, łasił się, w końcu nawet warczał i szczekał, ona jednak uwagi na niego nie zwróciła, tak była zajęta tem co ją bolało... Nareszcie nie mogąc iść dalej, zsunęła się na murawę i oczy oburącz sobie zasłoniwszy, rozpłakała się płaczem głośnym a serdecznym.

— Boże, mój Boże! — z głębi duszy zawołała — czemuż mnie żydówką stworzyłeś?

— Panno Różo! Zlituj się! Nie rozpaczaj! — dał się słyszeć głos tuż przy niej.

Podniosła głowę z przerażeniem. Obok niej stał sekretarz jej ojca.

Od owej pamiętnej sceny na kładce, garbus codzień chodził w to samo miejsce, zkąd wtedy śledził naszych przyjaciół. Ilekroć ich zobaczył swobodnie z sobą rozmawiających, cierpiał, i w duszy sobie przysięgał, że więcej tu nie wróci, a mimo to nazajutrz znowu przychodził, bo miłość dziwnie jest kapryśną. Często w tem, coby ją zabić powinno, znajduje świeży pokarm dla siebie, a w najwyższej boleści szczęścia szuka. Dziś garbus słyszał najważniejszą część ich rozmowy, a widząc Różę zrozpaczoną nie mógł wstrzymać się i do niej pospieszył.

— Czemu mnie pan tak ciągle prześladujesz? — zapytała głosem bez dźwięku.

On tyle już razy dał jej do zrozumienia, iż ją kocha, że nie potrzebowała go pytać, po co tu przyszedł.

— Ja cię pani nie prześladuję, jabym chciał być twoim stróżem, twoim psem! Ty nie wiesz pani, co się w mojej duszy dzieje, gdy widzę łzy w twoich oczach, ty ani się domyślasz, jak ja wtedy cierpię! Rozbujała wyobraźnia ukazała ci światy, które ziścić się nie mogą, i ty biedna lecisz w przepaść, sama nie wiedząc dlaczego.

— Ach! ja wiem dla czego! — porywczo mu przerwała. — Dla tego, że życie dotychczasowe wcale mi już nie wystarcza, dla tego, że nad takie życie bez treści i celu, przenoszę choćby nawet śmierć w owej przepaści, o której pan wspomniałeś!

— I nie szkodaż ciebie pani, ciebie, która możesz być tak kochaną!

— Stokroć czasem lepsza nienawiść jednych, niż miłość drugich, boć i nienawiść okazuje, że dla ludzi, którzy ją dla nas mają, nie jesteśmy obojętni... Jedna tylko obojętność, zimna, nieubłagana, jest zabijająca!

Garbus wpatrywał się w nią uważnie, jakby bądź jej słów nie rozumiał, bądź lękał się o jej zmysły.

— Panno Różo! — przemówił ręce przed nią jak do modlitwy składając. — Są ludzie, którzy dla ciebie gotowi zaprzeć się wszystkiego, nawet swojej wiary i ojczyzny! Stojąc wśród świata samotni, w miłości twojej znaleźliby wszystko, i świat i ojczyznę i Boga!

Mówił z ogniem, namiętnie, jak dotąd jeszcze nigdy.

— Panie Henryku! — z godnością odpowiedziała — gdybym nie wiedziała jak jesteś nieszczęśliwy, za słowa, któreś teraz wypowiedział, musiałabym tobą gardzić.. Ja ci jednak przebaczam, lecz równocześnie proszę cię panie, byś odtąd przestał o mnie myśleć i mną się zajmować.

Podniosła się dumnie jak królowa i oczy z łez otarłszy poszła do wsi. Garbus stał chwilę wzrokiem ją odprowadzając; potem westchnął i poszedł jej śladami jak niewolnik.

Ryszard biegł cwałem do domu. Minął Ekonomówkę i nieznajomemu, który w furcie stojąc uprzejmie go pozdrawiał, nawet ukłonem nie odpowiedział, tak był zajęty swemi tylko myślami. A musiały być przykre, skoro usta zwykle słodko uśmiechnięte ścisnął kurczowo i oczy ponuro utkwił przed siebie. Zobaczywszy dwór niedaleko, zaczął pospieszać.

Na werandzie, w towarzystwie ojca Samuela, który przyjechał się pożegnać, prowincjał bowiem do stolicy go przenosił, siedział pan Władysław Gozdawa i tokaja popijając, ani przypuszczał, co w tym samym czasie jego jedynaka spotkało.

— Mosterdzieju, za wasze zdrowie ojcze Samuelu! — już piąty czy szósty raz wołał.

Bernardyn składał się, wymawiał, w końcu jednak dał się zawsze uprosić.

— Będzie wojna panie dobrodzieju, dam gardło że będzie... W Hercogowinie coraz goręcej, a da Bóg doczekać, do wiosny Serbowie i Czarnogórcy pewnie się ruszą.

— A Turek im skórę wytataruje mosterdzieju! Gdzie tam pastuchom brać się do pałasza!

— Dałby to Bóg!

— To ojciec znowu za bisurmaninem?

— Ja za sprawiedliwością panie dobrodzieju. Bo nie trzeba być wielkim politykiem, żeby położenie na Wschodzie jasno zrozumieć. Jak Serbów i Czarnogórców Turek dobrze przetrzepie, a Abdul Kerim powiadają to dzielny jenerał, wtedy Moskal będzie musiał pospieszyć im na pomoc i wojna Wschodnia gotowa.

— A potem co sercuńciu?

— Potem aby Moskala do Stambułu nie puścić, bo jak panu dobrodziejowi wiadomo, on na meczecie Św. Zofji chce koniecznie swój szyzmatycki krzyż zatknąć... otóż aby go tam nie puścić, Europa będzie musiała Polskę odbudować, bo tylko jedna Polska może mu stanąć na drodze... Hej! hej! ważne wypadki gotują się w świecie.

Pan Gozdawa przypomniawszy sobie, co mu niegdyś delegat mówił, ani potwierdzał teraz, ani przeczył, tylko mruknąwszy po dwa kroć: hm! hm! znowu podniósł kieliszek.

— Za pomyślność naszej sprawy mosterdzieju!

— Za pomyślność, daj Boże! — potwierdził zakonnik i tym razem duszkiem kieliszek wypróżnił.

Jakiś czas obadwa milczeli. Potem bernardyn pierwszy przemówił:

— Wie pan dobrodziej jak jestem życzliwy jemu i jego synowi... Otóż powodując się przyjaźnią, radbym dać panu Ryszardowi przestrogę ojcowską. Myślałem że go zastanę, ale kiedy nie nadchodzi, a ja muszę zaraz wracać do konwentu, więc chyba jego szanownemu rodzicowi powiem co mi na sercu cięży...

Urwał i tabaczki zażył. Pan Gozdawa niezmiernie zaciekawiony, przysunął się do gościa i głowę ku niemu wyciągnął.

— Radbym wiedzieć sercuńciu, co to takiego.

— Chciałem przestrzedz pana Ryszarda — ksiądz głosem zniżonym odpowiedział — aby przestał widywać się z córką Sterna, w okolicy bowiem coraz głośniej już o tem mówią... Nie ma dnia, żeby go dwa razy nie widziano na drodze między Starąwsią a Wolą Ludaczowską.

— Doprawdy ojcze Samuelu?

— Na uczciwość panie dobrodzieju. Niedawno temu jechał nasz przeor drogą główną, a ujrzawszy w polu jakieś dwie postaci, kazał stanąć, wyjął lunetę, bez której w podróż nigdy się nie wybiera i zaczął patrzeć.

— I to oni byli sercuńciu?

— Oni panie dobrodzieju... miał ich jak na dłoni.

Ojciec Samuel był pewny, że pan Gozdawa bardzo się tem zgorszy, on jednak z radości aż z krzesła skoczył i zawołał:

— A to mi mosterdzieju zuch chłopiec! Jużem się martwił, że z niego nic nie będzie, tymczasem wyszukał sobie najpiękniejszą dziewczynę

w okolicy. Zuch mosterdzieju, całkiem wdał się we mnie! Tylko że ja lubiłem otwarcie, tak że cały świat o tem wiedział, a on sercunciu jak filozof, chyłkiem, krytym sztychem. Patrzcie jaki z niego z cicha pęk!

— I pan dobrodziej nie ma żadnej obawy? — zakonnik z przestrachem zapytał.

— A o kogóż mam się obawiać sercuńciu, o Rysia? Wszak skończył lat dwadzieścia sześć, więc chyba już może romansować... Jeźli się nie mylę mosterdzieju, nawet prawa koniecznie w tym wieku tego nie zabraniają. Co zaś do panny, to niech ją ojciec pilnuje. Zresztą co to za panna... żydówka!

— Właśnie dla tego że żydówka, poganka, — bernardyn podchwycił — gotowo wyniknąć nieszczęście. W czasach teraźniejszych straszne dzieją się rzeczy... Ludzie zapominają o Bogu, o religji, o przykazaniach kościelnych i przechodzą na bezwyznaniowców, którzy gorsi od samych pogan... Pan Ryszard jest młodzieńcem bardzo zacnym i ja go wielce poważam, lecz zawsze to człowiek jeszcze młody, uczuciowy... A nuż by go zły duch opętał i chciał się ożenić?

— Z kim mosterdzieju, z żydówką? A czyż to mój syn nie wie, że pochodzi z Gozdawitów, i że matka jego była Komorowska? Nie lękajcie się ojcze Samuelu, nie, mój Ryś nie popełni takiej nikczemności.

— Jeżeli obawa moja jest wielką, to i dla tego, że pan dobrodziej inklinuje także więcej może do żydów, niżby powinien. Ileż to razy słyszałem, jak pan dobrodziej Sterna wychwalał i na wzór innym stawiał.

— To znowu co innego sercuńciu, to polityka. Kiedy cały świat powtarza, że z żydów powinniśmy Polaków zrobić, i kiedy *Teraźniejszość* co dzień to drukuje, więc chyba i ja mosterdzieju, jako prawy syn ojczyzny nie będę innego zdania. Nasi ojcowie dosyć nagrzeszyli niesfornością i duchem kastowości, teraz sercuńciu górą solidarność i liberalizm! Tak jest Polska będzie albo liberalną, albo jej wcale nie będzie! Co zaś do Sterna, to ja go w rzeczy samej bardzo poważam, bo to żyd w swoim rodzaju jedyny, wyjątkowy! Gdyby nie on, Lachocki byłby mnie już dawno z tąd wypędził. Lecz dla tego że go poważam i jestem mu wdzięczny, nie myślę mu jeszcze syna dawać za zięcia. Mój Ryś mężem żydówki i zięciem Sterna! Dbrm mosterdzieju! A tożbym wolał, żeby mnie wpierw na mary położyli.

Właśnie gdy pan Gozdawa głosem znacznie podniesionym ostatnie słowa wypowiedział, Ryszard zjawił się pod werandą. Ojciec chcąc prędko załatwić co mu na sercu ciężyło, zawołał do niego:

— Powiedz mi Rysiu, ale tak szczerze sercuńciu, jak to ty umiesz, czy byłbyś zdolnym zwarjować kiedy i z żydówką się ożenić?

Młody człowiek powiódł okiem badawczem po zakonniku i swoim ojcu:

— Możecie panowie być pewni — spokojnie odpowiedział — że w życiu nigdy nic nie uczynię przeciw memu sumieniu i zasadom które wyznaję, a do tych, jak to panowie nie od dziś wiecie, należy także głębokie przekonanie, że rasa żydowska jest dla nas zgubną!

— A widzi ojciec dobrodziej, że mój syn wdał się we mnie! Poromansować sercuńciu, to co innego, ale żenić się mosterdzieju z żydówką, tego żaden Gozdawa nie zrobi!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W CHWILI SKONU.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU

Przekład Heleny Wilczyńskiej.

(Ciąg dalszy).

Adwokat posuwał się zwolna, wzdłuż domów, aby go jak najmniej widziano. Petardy i rakiety pękające mało go obchodziły. Ten ogień wydawał mu się niczem, w porównaniu z uczuciem płomienistem, które w piersi jego gorzało. Czuł ciepło jej ciała; liczył gwałtowne serca uderzenia; zalatywał go zapach jej włosów odurzający... Cisnął coraz mocniej, coraz namiętniej tę wiotką postać do swojej piersi, jakby w obawie, by mu się z rąk nie wymknęła. Nagle stanął, bo mu tchu i sił zabrakło.

— Na miły Bóg! — szepnęła margrabina, kładąc mu dłoń na sercu — czemu pan się zatrzymujesz? prędzej! prędzej!...

Jej dotknięcie podziałało jak iskra elektryczna. Wstrząsł się cały, i szedł dalej. W krótce znaleźli się w uliczce obok pałacu. Margrabina zsunęła się lekko na ziemię; pod zasłoną płaszcza Jakóba otworzyła furtkę. i znikła mu z oczu jak senne widziadło. Na nieszczęście o dwa kroki od pałacu spotkał znowu Marjusa, który go poznał i zagadnął:

— Ho! ho! jeszcześ pan tutaj? Chcesz widzieć koniec batalji. Trzymamy się doskonale, bijemy się

jak lwy, jak Cezary, cóż kiedy Królewscy mają lepszą amunicję!

— Więc dajcie hasło do odwrotu i wykonajcie porządną rejteradę.

— Jeszcze czas, jeszcze czas na to panie Loubet. A propos! Co to była za kobieta, która schroniła się do waszego domu, przed dwoma godzinami? Kilku pijanych studjosów za nią goniło.

Adwokat milczał.

— Chciałem wziąć ją pod moje skrzydła opiekuńcze, jako wierny płci pięknej obrońca... i gdyby była przyjęła moje ramie... Ale któż to był taki?

Jakób wahał się jeszcze, wreszcie sucho odparł:

— Moja kuzynka Katarzyna.

— Panna Loubet? — powtórzył Marjus ze zdziwieniem.

— Tak, Kasia. Gdybym znał tych, co śmieli ją napastować, nauczyłbym zuchwalców, jak się powinno szanować kobiety...

— Hm! hm! po dziesiątej w nocy na ulicy... — mruknął Marjus z cicha, głośniej zaś dodał z pewnym naciskiem — A czy można wiedzieć z kąd wracała o tak poźnej godzinie?

— Z klasztoru panien Wizytek — odpowiedział adwokat tonem ostrym i surowym.

Zaledwie zdołał ukryć pod pozorem zupełnej obojętności, trawiący go niepokój. Można więc sobie wyobrazić, jak mu była niemiłą dokuczliwa indagacja ciekawego Marjusa.

— Widzisz pan — zawołał tenże, przechodząc szczęśliwie do innego przedmiotu — jakto stare tradycje zacierają się w naszej młodzieży! Oto Beauregard, dziecię nasze, mieszczuch z ojca i pradziada, zaciągnął się dobrowolnie jako kadet, do pułku *royal-comtois*, prawo porzuciwszy; dziś nierozłączny ze swoim kapitanem Lansac'em, atakuje nas, braci swoich! Czy takie odstępstwo nie woła o pomstę do nieba! Znasz pana de Lansac mecenasie?

W słowach tych ukrywała się złośliwa intencja, która nie uszła uwadze Jakóba. Była to aluzja do Klary Loubet, siostry Kasi rodzonej, dziewczyny słynnej z piękności, lecz również niestety potępianej przez opinię ludzi zacnych i uczciwych, za jej zalotność niepohamowaną i życie bardzo lekkie, które prowadziła, porzuciwszy dom opiekunów. Głos publiczny nie nazywał jej inaczej, tylko piękną Loubetą. Adwokat z gniewu poczerwieniał, i chwycił za ramię Marjusa.

— Twój język to miecz obosieczny; czytam w twoich oczach, że masz dla mnie jeszcze jakąś złośliwą wiadomość. No, no, wypowiedz ją, wypowiedz panie Marjus, bo by ci język uciekł inaczej. Dlaczegoś mi wspomniał pana de Lansac?

— Ależ, ot tak sobie, dla niczego. A pan zaraz gniewem płoniesz, jak hubka na krzesiwie. Nie można z panem spokojnie pogawędzić. Zresztą, cóżbym mógł panu tak złego powiedzieć? Że kapitan Lansac kocha się w pięknej Loubecie, rzecz całkiem naturalna. Nie pierwszy to motyl i nie ostatni, który osmali sobie skrzydełka u tych oczów płomienistych. Śliczna bo to osóbka! Chociaż ma lat dwadzieścia trzy z górą, wyglądą jak pączek róży, świeża jak jej o tyle lat młodsza siostra...

— Tylko bez porównań między niemi, — przerwał groźnie adwokat. — Młodsza jest jak anioł czysta, wzór cnót i pobożności, a tamta!... Niech ją Bóg strzeże od złego końca! Nieraz jej to przepowiadałem.

Marjus wzniósł oczy w niebo z wyrazem komicznego oburzenia, a potem tak mówić zaczął:

— Oj! panie Loubet! Dziękujmy Bogu, że pułk *royal-comtois*, odchodzi sobie jutro. Ci oficerowie królewscy, to rywale nader niebezpieczni. Ot ten naprzykład — wskazał ręką w stronę kapitana Lansac — może się pochlubić, że nie jedną cnotę kobiecą nadszarpał, i nie jedną głowę mężowską przystroił — zrobił giest odpowiedni — w naszem poczciwem i bogobojnem mieście Aix.

Pobiegł w stronę swojej partji, która jakoś słabnąć poczynała.

Uczucie wstydu i gniewu tłumionego, oderwało na chwilę myśl adwokata od słodkich i jednocześnie bolesnych wrażeń, przez które przeszedł tego pamiętnego wieczora. Kręte a złośliwe słowa młodzika, budziły w jego duszy uczucia przykre, głęboko upokarzające. Sumienie mu wyrzucało, że po śmierci ojca, zostawszy głową rodziny, tak źle dopilnował pięknej kuzynki, że pozwolił na jej wybryki, że jej siłą nie wstrzymał, gdy w przepaść leciała.

Przygnieciony temi smutnemi wspomnieniami, oparł się o to samo drzewo, pod którem go poznaliśmy, i patrzał bezmyślnie przed siebie.

Walka powoli ustawała. Amunicja była wyczerpaną, obu stronom brakowało pierwotnego animuszu. Marjus Magis wyrzucił ostatni tuzin petard i także zmierzał ku domowi. Przechodząc obok adwokata, rzucił mu na pożegnanie to pełne jadu ostrzeżenie:

— Piękna Loubeta ma dziś wieczór *rendez-vous* z kapitanem de Lansac. Może przyda się panu na co ta wiadomość.

Adwokat nic nie odpowiedział, tylko chyłkiem zbliżył się na kroków dziesięć do kapitana. Pierwsza wybiła.

Pan de Lansac rzucił sakwę z amunicją pod drzewo, a biorąc pod ramię kadeta Beauregard rzekł, kapelusz na oczy nasunąwszy:

— Dość już fajerwerków na dzisiaj. Ta *pseudo* wojna, wybiła mi nawet z głowy godzinę mojego *rendez-vous*. Niech djabli wezmą wszystkich studentów! Będą może przyczyną, że nikogo na miejscu nie zastanę, a to ostatnia schadzka przed moim odjazdem. Chodź

Beauregard. Gdyby gonili za mną, ci bohaterowie świętojańscy, ty ich powstrzymasz.

— Na rozkazy panie kapitanie!

Kadecik z dumą czapkę trochę na jedno ucho przekrzywił, i z miną wyzywającą zarzucił pełną jeszcze sakwę przez ramię.

Szli dość daleko. Za nimi jak cień posuwał się Jakób niepostrzeżenie.

Zbliżyli się do drzwiczek w murze, który pyszny jesion, konarami swojemi osłaniał. Była to uliczka odludna; trawa rosła na niej jakby na łące. Kilka niskich domków gdzie niegdzie bielało; milczenie głuche, jakby na pustyni zaległo w tej stronie miasta.

Pan de Lansac otworzył furtkę i wszedł do ogrodu, Beauregard na straży przy murze pozostał.

Adwokat spodziewał się, że pójdą o kilkadziesiąt kroków dalej, do domku, w którym Loubeta najęła sobie była pomieszkanie. Zdziwiony stanął w cieniu, końca oczekując.

Czas był przecudowny. Spóźniony słowik, mimo iż czerwiec był na schyłku, wywodził miłośne trele w kłąbie kwitnących cytysów; księżyc płynął cicho po niebie, na którem jednej chmurki nie było; lekki wietrzyk poruszał liśćmi jesionu; powietrze było przesiąknięte róż zapachem; cały ogród wyglądał jak kosz kwiatów. Było to rozkoszne gniazdko, istny raj, gdzie miłostki pięknego kapitana, osłaniała głęboka tajemniczość, a całe otoczenie dodawało schadzkom uroku niezwykłego. Lansac podszedł pod drzwi domku ślicznego, który ukrywał się w głębi ogrodu, i lekko w okno zapukał.

Żadnej odpowiedzi...

— Loubeto, moja piękna Loubeto, to ja, otwórz... — z cicha zawołał.

Znowu głuche milczenie...

— Nie masz jej tam — Beauregard zauważył — Światło zgaszone i drzwi zamknięte.

— Widocznie sprzykrzyło jej się czekać. A mówiła, że musi pożegnać się ze mną. Oj! kobiety, kobiety!

— Myślała może, że pan do niej przyjdziesz?...

— *Mort-dieu!* Właśnie że nie pójdę. Jestem jej kochankiem, ale nie sługą najniższym! I dowiodę jej tego!

— To was może poróżnić...

— Mniejsza z tem. Postaram się by jej za nadto nie żałować. Zresztą skoro odjeżdżam...

— Lecz gdy wrócisz kapitanie?

Lansac roześmiał się głośno, by zamaskować przykre wrażenie ze spotkanego zawodu.

— Gdy wrócę — odrzekł niedbale — to pewno nie dla pięknych oczów Loubety. Widzisz Beauregard, już mi się przejadły te miłostki mieszczańskie. Chociaż moja Loubeta piękna, bardzo piękna... Ale tego jej nigdy nie daruję, że dziś na mnie czekać nie chciała. Tak ją kochałem, że nawet wahałem się chwilę czy jej z sobą nie zabrać.

— Dobrze żeś tę myśl porzucił kapitanie. Mogła ci sprowadzić wielkie nieprzyjemności, ze strony jej rodziny...

— Hę! Co pan mówisz? — Lansac przerwał wydymając usta pogardliwie.

— Mówię prawdę. Skargi, procesa...

— Rzeczy djabelnie nieprzyjemne. Wolę raczej dwadzieścia pojedynków. Oto co się ryzykuje przy takich pospolitych miłostkach! Pozwy, wyroki i wreszcie areszt krótszy lub dłuższy, zamiast uczciwego i przyzwoitego pchnięcia szpadą.

— Mieszczanin jak pan Loubet, nie mógł by żądać od ciebie kapitanie innego zadośćuczynienia.

— Dla czego? Satysfakcji honorowej nikomu nie odmawiam, kładąc za jedyny warunek, by umiał dobrze szpadą robić. Nie jestem Herodem, żeby urządzać rzeź niewinniątek. Już tu w mieście Aix, miałem pięć pojedynków, mimo iż najnowszym reskryptem królewskim, kto zabije przeciwnika, podlega sam karze śmierci... Chodźmy ztąd Beauregard. Nigdy! nigdy jej tego nie zapomnę, że mogła odejść dziś wieczór, nie pożegnawszy się ze mną!

— Mów co chcesz kapitanie, a ja przecież myślę, że dla pięknych oczów małej mieszczki, gotów byś nawet poświęcić względy, któremi cię zaszczyca pewna wielka dama tutejsza...

— O! tego się wcale nie wypieram. Co więcej, przyznaję nawet, że się boję tej wielkiej damy...

— Ty kapitanie, miałbyś się bać czegoś na świecie?!

— Za nadto mnię kocha! — odrzekł kapitan z tak naiwną i komiczną zarozumiałością, że kadet zaledwie zdołał powstrzymać wybuch śmiechu, któryby wcale nie licował z jego podrzędnem stanowiskiem wobec kapitana.

Obeszli ogród obydwaj. Lansac zdawał się żegnać z każdym klombem, z każdą ławeczką. Wreszcie wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi od domu.

— Zapomniałem świecy i krzesiwa — mruknął niechętnie. — Spodziewałem się tu innego przyjęcia dziś wieczór.

Okna, a nawet okiennice były pozamykane. Ciemności egipskie tu panowały. Jedna tylko smuga bladego światła księżycowego, przedzierała się przez szczelinę w okiennicy i biegła jasną nitką przez pokój.

— Chodźmy z tąd, jak tu duszno — Lansac zauważył.

— Prawda — potwierdził Beauregard. — Oddycha się ciężko, niby jakąś parą, jakby wyziewem krwi świeżej.

Lansac drzwi zamknął i szybko wybiegł za furtkę ogrodową. Trudno mu było widocznie oderwać się od tych miejsc, tylu słodkiemi wspomnieniami uświęconych.

Odtąd szli obydwaj w głębokiem milczeniu. Jakób odprowadził ich aż do pomieszkania, które kapitan w mieście zajmował, a przekonawszy się naocznie, że Loubeta nie stawiła się na schadzkę miłosną, i że to

było jedno z niegodziwych i zuchwałych kłamstw Marjusa, zdecydował się wreszcie wrócić do domu.

Pierwszym przedmiotem, który go uderzył, gdy wchodził do kancelarji, była owa czarna mitenka, krwią zbroczona, którą margrabina pod biórko wrzuciła. Dreszcz nim wstrząsła, gdy ją z ziemi podnosił. Długo, długo się w nią wpatrywał, wreszcie okrył namiętnemi pocałunkami, i starannie owiniętą, schował na spód do jednej z szuflad biórka swojego.

Już dawno dzień się zrobił, a Jakób siedział jeszcze na tem samem miejscu, z oczyma czerwonemi, z ustami spalonemi gorączką, i powtarzał z cicha jakby we śnie jakimś ułudnym.

— Ludwika d'Argevilliers! Co to za wielkie imię! Piękna margrabina d'Argevillier, wdowa po pułkowniku wojsk królewskich. A jam ją przecie trzymał w objęciu i przyciskał tu, tu, do mego serca!... Biedny szaleńcze! biedny Jakóbie Loubet!... i tobież to przyszło kochać margrabinę d'Argevillier!....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

— Czy pana kochała? — zapytał zimno sędzia.

Pan de Somery zarumienił się i zaambarasował, co było dlań zaszczytnem.

— Miałem nadzieję, że mnie pokocha — odpowiedział — robiłem wszystko, żeby na to zasłużyć. Jeszcze dziś mam tę nadzieję. Nie śmiem powiedzieć, że zdobyłem jej miłość. Pani de Moranes szanuje mnie, a ja kocham ją głęboką miłością, która nigdy nie minie.

Pan de Rosey poruszył się na krześle, zmarszczył czoło i szepnął:

— Zdaje mi się, że zbaczamy z drogi. Pan przytaczasz frazesa romansowe, nazwijmy stanowczo rzeczy po imieniu. Jeżeli przeciw pani de Moranes były tylko pozory, dla czegoż opuszczała męża?

— Czy pan wiesz że mąż ją uderzył, zranił, że to ja wyciągnąłem ją ledwie żywą z Mozeli?

— Wiem o tem. Ale gwałtowność pana de Moranes, jeżeli była niesprawiedliwą, była powodem do rozwodu sądowego, publicznego, któryby dziś nam mniej zawadzał, jak owa ucieczka, owo tajne zniknięcie, owa śmierć fałszywa, wreszcie owo kłamstwo, obiegające po świecie, straszne dla dzieci.

— Pani de Moranes nie chciała tego rozwodu właśnie dlatego, że nie mogła zarzucić mężowi nic więcej, tylko ową jedyną chwilę gwałtowności, z której go rozgrzeszała.

— A więc dla czego nie została przy nim?

— Pan de Moranes nie zezwolił na to.

— Jednak, jeżeli to tylko były pozory?

— Dziwna drażliwość sumienia pani de Moranes, nie pozwalała jej bronić się. Przyjęła ową pozorną śmierć; zniosła wszystko, nie chcąc się mścić ani przysparzać wyrzutów sumienia swemu mężowi.

— A! pan chcesz dowodzić, że to on jest winnym!— przerwał pan de Rosey z ironią.

Pan de Somery nie zaprzeczył temu; mówił dalej, pozwalając Panu de Rosey uspokoić się.

— Nie, to nie w tej myśli skazała się pani de Moranes na milczenie. Zresztą, powtarzam to panu, że nie zaprzeczam wcale własnej winy. Najprzód litowałem się nad ową kobietą inteligentną, cichą, skromną, dumną, kochającą, słowem kobietą w całem znaczeniu tego wyrazu, zaślubioną owemu oschłemu uczonemu, który nigdy nie odgadł nawet tych cnót niewieścich... Byłem w wieku, w którym zarozumiałość uczy nas dyplomacji, jakiejby nauka nie nauczyła. Wyznaję, że urok, piękność, ów ból, który odgadywałem w tej kobiecie zapoznanej przez męża, przejęły mnie myślami, które możesz potępić, bo sam to wyznaję, że były tylko pozorem, igraszką zmysłów, chcących zbadać tę naturę smętną, skłonną do melancholii. Wkrótce jednak zostałem oczarowany, oczyszczony i ogarnięty uczuciem prawdziwej, niezłomnej miłości. Kochałem tem uczuciem, które jest nam życiem całem i grozi śmiercią. Ah! zaręczam panu, że ani wyrachowanie, ani hipokryzja, ani próżność nie grały roli w tej przyjaźni gorącej, a w dniu, w którym pani de Moranes nazwała mnie swym przyjacielem, kładąc z ufnością swoją dłoń w moją, poświęciłem jej życie gotowe do wszelkich ofiar i uczułem dla niej cześć religijną. Czy oboje zwodziliśmy się nawzajem? Czy owo zaufanie, którego pragnąłem, które pomału pozyskałem było zasadzką, w którą serca nasze miały wpaść i złączyć się kiedyś?... Czy gdyby taki stan rzeczy był dłużej potrwał, stalibyśmy się byli więcej winnymi, gdyby nas kara nie była spotkała?... Czy istotne wiarołomstwo zostało powstrzymane owem zajściem nagłem z mężem? Czy już łamaliśmy wiarę moralnie, ale tak, że ani kara praw waszych, ani mężowska nie mogła nas dosięgnąć, bo prawość nasza mogła dać jej zadośćuczynienie? Wszystko to być może... ja życzyłem sobie tego... nie zaprzeczam. Pani de Moranes doszła ze mną do tego stopnia przyjaźni, o jaką mąż może być zazdrosnym, ale której nie ma prawa karać śmiercią... Tak, nawet w tej samej chwili, gdy ta czuła dusza zwierzała mi się ze swych smutków i boleści, zostaliśmy oboje ukarani jak pospolici przestępcy... Ah! jaka złość wówczas mną miotała! Co za

rozpacz! Jaka hańba spadała na panią de Moranes, gdy ratowała się ucieczką!... Mąż zamknął drzwi przed nią, nie przyjął tłumaczenia, polegał tylko na tem, co jego oczy nieomylne widziały, rozum i nauka radziły, chociaż te nie znały życia zupełnie!... wtenczas zagrzebała się żywą; skazała na życie zdala od swych dzieci, które śledziła jednak wszędzie wzrokiem. Nie posiadając majątku, odrzuciła wszelką pomoc tak mężowską, jak moją i tylko chciała zawdzięczać wszystko swej pracy... Pan osądzisz sam, czy pani Bardin godnie umiała zapracować na życie.

Pan de Rosey, wiedziony uczuciem silniejszem nad wszelkie jego zasady, zerwał się, pochwycił ręce pana de Somery i wstrząsając niemi gwałtownie z wyrazem radośnym i wesołym twarzy, zawołał:

— Więc to ona! to ona!... Gdybym to był wiedział! gdyby się była mi zwierzyła w czasie tych dwunastu lat... Ona u mnie! Ona!

Przeszedł się wzdłuż gabinetu, a powracając do pana de Somery, rzekł:

— Nie mów pan już nic więcej; odgaduję wszystko. Nie! ona nie upadła jak zwykłe zalotne istoty; nie, ja rozumiem wszystko. Ach, biedna kobieta! Ileż cierpieć musiała!... gdybyś pan wiedział! Myśmy tutaj z nią roztrząsali niemożliwość tego małżeństwa. Teraz jest więcej niemożliwem niż przedtem.

— Dla czego? — zapytał pan de Somery. — Teraz nie potrzebujesz pan wątpić o jej prawości.

— A co pan chcesz jej zaproponować? — zapytał sędzia, nie odpowiadając na uwagę pana de Somery.

— Aby skazała się wraz ze mną na wieczne wygnanie. Już kilka razy zdawało jej się, że ten wyjazd jest koniecznym i załatwiłby wszystko. Przyrzekłem jej synowi rehabilitacją. Myślę, że ta tym sposobem jest możliwą... przeszkoda zostałaby usuniętą. Przed człowiekiem jak pan nie wolno nic ukrywać. Wyznam więc panu radość egoistyczną, której moje serce doznaje. Mam nadzieję, że te dwanaście lat miłości szczerej, prawej, uległej, tak świeżej jak w dniu pierwszym, znajdą w owem wygnaniu nagrodę... Ja chcę wiecznie przez nią być kochanym. Jeżeli pokonam jej dumę, jeżeli szacunek, który posiadam, w miłość zamienię, jeżeli skłonię ją do wyznania tego, czego się spodziewam, wtenczas udamy się do kraju, w którym uzyskamy rozwód po kilku miesiącach naturalizacji. Ona wyrzecze się nazwiska Moranes a przyjmie moje, stanie się prawowitą moją małżonką, nie będąc nigdy moją kochanką.

— Żoną pana po za granicami Francji, kochanką pańską zawsze tutaj, gdzie się jej mąż i dzieci znajdują.

— Prawo francuzkie tak o tem sądzi, ale to prawo nie jest nieomylne.

— Więc czy mam radzić synowi, aby czekał na wyrok sądowy?

— Może się to panu słusznem wydaje — a dla świata będzie to sprawiedliwem, co pan za słuszne uważasz.

— Więc ja mam dać przykład buntu przeciw prawu?

— Pan dasz przykład sprawiedliwości, która przechodzi granice zwykłego prawodawstwa. Zostaniesz pan konsekwentnym temu uczuciu miłosierdzia, które tutaj w tym domu zaprzecza wyrokom sądowym.

— Nie, panie, ono je uzupełnia.

— Swiat, który chce przedewszystkiem widzieć jasno każdą sprawę, a często uprawnia to, co zdaje się być bezprawiem, gdy się do sądów odwołuje, usprawiedliwi, bądź pan przekonanym, ten czyn i oceni go, jak na to zasługuje... Gdyś mi pan mówił na początku naszej rozmowy o pani Bardin z taką przyjaźnią i szacunkiem, sądziłem, że staniesz się naszym sędzią; miałem nadzieję, że w obec niej będziesz moim adwokatem, jej własnym, jej córki, która cierpi, tęskni, więdnieje i może umrzeć wskutek surowości pańskiej; wreszcie adwokatem własnego syna twego...

Pan de Rosey rozmyślał, słuchając.

— Panie, — odezwał się łagodnie ale stanowczo — nie będę adwokatem pańskim i nie chcę być sędzią twoim. Zostaję przyjacielem pani de Moranes i mam nadzieję zostać i twoim przyjacielem... Pan chcesz mnie uczynić wspólnikiem wiarołomstwa.

— O, panie!

— Tak, wspólnikiem twoim... To co pan nazywasz rehabilitacją, nie jest nią bynajmniej; owszem to zwiększa jeszcze winę. Nie mogę pozwolić, aby teściowa mego syna żyła na wygnaniu ze swym kochankiem, nawet w razie, gdyby była możność zaślubienia go wskutek rozwodu, niedozwolonego prawem; przecież to czyniło by położenie całe jeszcze więcej dwuznacznem. Nie mówmy o tolerancji światowej, która nieraz usprawiedliwia położenie romantyczne... Jeżeli pani de Moranes kocha pana i chce ci swoją miłość poświęcić, niech jedzie z panem, wcale to nie powiększy całego skandalu, a ja nie będę miał siły przeklinać kobiety, którą tak szanowałem. Należy jej się szczęście; — jeżeli możesz jej dać tą niby rehabilitacją, nie będę się opierać temu... ale mój syn nie zaślubi dla tego panny de Moranes. Pan chcesz osłonić złe, a tu trzeba je naprawić.

— Jakim sposobem?

— Jedynym, który jest prostym i logicznym, chociaż nie mówię, aby był łatwym. Ale gdyby w ciągu dwunastu lat, które pani Bardin spędzała u mnie, była mi opowiedziała dzieje swego życia, sądzę, że dzieło rehabilitacji byłoby prawie ukończonem. Oto są, panie, warunki, jakie moja przezorność rodzicielska stawia, pani de Moranes ma powrócić do domu mężowskiego. Jeżeli tego będzie potrzeba, ja sam ją doń zaprowadzę.

— Nigdy na to nie przystanie.

— Pan sądzisz, że przeniesie miłość twoją nad obowiązek?

— Obowiązek? przecież już nie ma żadnego względem pana de Moranes.

— A względem swych dzieci?

— One sądzą, że umarła.

— Czy jesteś tego pewien?... A gdyby nawet tak było, to cieszyłyby się z tego zmartwychwstania.

— Pan de Moranes zamknąłby drzwi przed nią!

— Trzeba tego spróbować!

Pot kroplisty występował na czoło pana de Somery.

— Wierzę wszystkiemu temu, coś mi pan mówił — ciągnął dalej sędzia — wierzę szczerze, moje sumienie, przyjaźń i szacunek, jakie mam dla pani Bardin, skłaniają mnie ku temu; ale właśnie z tego powodu żądam rehabilitacji i chcę, abyś pan zachował cały swój honor w tym względzie.

— Ja!

— Tak, pan! jestem przekonany, że w głębi serca czujesz pan potrzebę wyjścia z tego dwuznacznego położenia, a to przez wielkie poświęcenie. Nie będę panu prawił morałów. Jednak pozwól sobie powiedzieć, że gdybyśmy sędziowie mogli tę karę nałożyć na wiarołomstwo, i zmusić tego, który stał się przyczyną niesnasek małżeńskich do naprawienia ich, do przywrócenia honoru domowi, który zbezcześcili, wtenczas rozwiązalibyśmy wielką kwestję. Często rzecz ta byłaby możliwą, ale egoizm utwierdza w wierności dla kochanka kobietę zdradzającą męża. Iluż kochanków opuszcza haniebnie zbłąkaną wskutek wyrzutów sumienia lub przesytu! Nieszczęśliwą gubią na zawsze, podczas kiedy odzyskaliby własny i innych szacunek, gdyby w dzień, gdy rozsądek do nich przemówi, zdecydowali się na naprawienie złego!... Zapewnie łatwo jest powiedzieć kobiecie, która cię znudziła: Powróć do męża. — Ale w obec tego egoizmu jest i okazja okazania wielkiej odwagi w razie, gdy kochanek, kochający wiernie poświęca się sam ze swej strony, bo chociaż wierzył, że pozyskał miłość tę na zawsze, chce jednak powrócić spokój wydarty rodzinie nieszczęśliwej. Zrób pan to; staraj się przynajmniej uczynić to. Dołóż ku temu wszelkich starań, a szlachetnie naprawisz cały swój błąd.

— Ah! nie wiesz, jak ja ją kocham! — zawołał pan de Somery powstając.

— Nie kochasz jej bardzo, jeżeli jej tę hańbę zostawiasz.

— Ale jeżeli ona mnie kocha.

— W takim razie ofiara będzie podwójną.

— Nie, nie; nie żądaj tego pan odemnie... nie uczynię tego; nie oddam ją temu człowiekowi.

— Ojcu jej dzieci.

— Nie zgodzi się na to nigdy.

— Zobaczymy. Ona to powinna wybór zrobić.

Pan de Rosey pochwycił za sznur od dzwonka. Pan de Somery chciał powstrzymać jego rękę.

— Pozwól mi pan sam na sam z nią pomówić.

— Nie; ja nie tylko jestem powiernikiem pańskim, jestem i przyjacielem pani Bardin. Obawiasz się pan, wszak tak, aby nie poddała się rozsądkowi?

Pan de Somery odetchnął głęboko, powstał, potarł ręką czoło, aby fałdy wygładzić.

— Ja się tylko jednej rzeczy obawiam w mem życiu, to jest podłości! — rzekł dumnie. — W tym domu oddycha się jakiemś bohaterstwem... Jestem gotów do zrobienia tego, czego pan żądasz.

— Co panu radzę...

Pan de Rosey wyrzekł to słodko, z dobrocią, by podziękować, i w tej chwili kazał wchodzącemu służącemu iść do pani Bardin i poprosić ją, by przyszła.

W czasie kwadransu, który upłynął na czekaniu, nie przemówiono ani słowa. Ci panowie już nie mieli sobie nic do powiedzenia. Układ był zawarty a przyjaźń go zatwierdzała.

Pan de Somery topniał i stawał się nowym człowiekiem, że tak powiemy. Sędzia obserwował go z ciekawością cnoty czystej, cieszącej się tym bohaterem romansowym, z którego się stawał bohater obowiązku. Gdy spostrzegał, że pan de Somery stacza walkę wewnętrzną, wstrząsa się febrycznie, ściskał go za rękę starając się rozerwać go jakiem słowem obojętnem, tyczącem się domu, pogody, chcąc okazać temu nowemu przyjacielowi, że jest pewnym, że tenże pozostanie stałym i nie ulegnie słabości.

Obaj zresztą byli wzruszeni tem wyczekiwaniem. Wszakże prawie obaj byli rywalami w admiracji i przyjaźni wspólnej.

Po pewnym czasie służący, wysłany po panią Bardin, powrócił zadyszany.

Nie znalazł jej nigdzie, ani w salach, ani na dziedzińcu, ani w jej pokoju; nikt jej nie widział od rana.

Pan de Somery spojrzał na pana de Rosey z obawą. Tenże pobladł; przypomniał sobie symptomata rozmowy wczorajszej. Kilkakrotnie zdawało mu się, że mimo woli wzruszał wczoraj i zasmucał nadto panią Bardin, w której nie przeczuwał pani de Moranes. Teraz wspomnienie tych słów przestraszało go.

— Chodź pan! — rzekł, pociągając pana de Somery za sobą.

Kazał służącemu przeszukać park. Może tam pani Bardin spaceruje. Sam udał się z panem de Somery do jej pokoju. Pokój uporządkowany więcej systematycznie niż zazwyczaj, wyglądał po zakonnemu, zimno i groźnie. Już tutaj nie było duszy kobiecej. Żadnego drobiazgu, który każda choć najakuratniejsza zostawi gdziekolwiek na stoliczku, by go prędzej znaleźć za powrotem; próżnia była zupełną, nic nie przypominało, że powrót ma nastąpić.

Na rejestrach leżały dwa listy, jeden do pana de Rosey, drugi do pana de Somery.

Rozpieczętowali i czytali równocześnie. List do sędziego był dłuższym. Potrzebne przecież były spowiedź i pożegnanie.

Pani de Moranes tylko jeden czyn swój tłumaczyła. Znikała aby już nigdy nie powrócić. Błagała pana de Rosey, aby nie sprzeciwiał się małżeństwu syna.

Panu de Somery dziękowała za przywiązanie.

Nie napisała „przyjaźń“ byłoby to za słabe wyrażenie; można powiedzieć, że za nim skazała się na to

dalekie wygnanie, w ową noc oddalenia, podnosiła cokolwiek zasłonę, którą zakrywała serce stanowczo, pozwalała odgadnąć żal, wzruszenie podobne miłości, jakie ją przepełniało — gdyby była wolną i gdyby miłość jej była dozwoloną.

Ową słodyczą nie natchnęła jej drażniąca zalotność, nie, to było ostatnie podziękowanie za całe życie tak szlachetnie jej oddane.

Pan de Somery spuścił głowę po przeczytaniu; stał przygnębiony przy małym stoliku, na którym ów list był pisany i patrzał nań jak w grób otwarty. Płakał.

Gdy pan de Rosey swój list skończył, oparł się drżąc o komodę i szepnął:

— Gdzież ona jest?

Wyciągnął machinalnie list otwarty, aby okazać, że nie zawiera żadnej wskazówki i zapytać, czy pan de Somery ma jakie pewniejsze wyjaśnienie.

Zawahawszy się cokolwiek, pan de Somery zamienił z panem de Rosey swój list, który przez swoją krótkość był wyznaniem.

— Ona pana kochała! — szepnął pan de Rosey, dodając zarazem z drżeniem, — aby z niej to wyznanie wydobyć, potrzeba jej się było na śmierć zdecydować!

— Nie, o nie mów pan tego — przerwał pan de Somery. — Ja nie myślę o tem, nie chcę myśleć, to niemożebne. Ona udała się na dalekie wygnanie, niepowrotne; ale nie zabije się, zwłaszcza jeżeli mnie kocha!

Wyrzekł to z dumną otwartością, wzruszony, z prostotą, która rozczuliła pana de Rosey.

— Rozumiem pana — wyrzekł tenże.

— Wszak tak? I ją pan przedewszystkiem rozumiesz. Ale to wyznanie, które równie jak pan odgaduję, byłoby się stało i dla niej i dla mnie męczarnią. Dzisiaj ono osładza moją rozpacz i jest mi obietnicą, że żyć będzie dla wspomnienia. Nie, ona nie umarła, nie pomyśli o odebraniu sobie życia. Jest za wzniosłą, by się zabijać. Mówiłem jej w chwilach rozpaczliwych, że życie sobie odbiorę... ona zawsze oburzała się na takie uwolnienie się z boleści; — teraz bałaby się śmierci równie jak uwiedzenia wiarołomnego. Na cóżby odjeżdżała, jeżeli by miała umrzeć? Ona po prostu uciekła!

— Dokąd?

— Ot, to jest, co trzeba odgadnąć.

— Wczoraj mówiła o Ameryce! — zawołał nagle pan de Rosey.

— Racja! często o tem z sobą mówiliśmy. Ameryka odpowiada jej charakterowi, jej chęci do pracy — odpowiedział pan de Somery.

— Trzeba dogonić ją, napowrót sprowadzić.

— Wszak to dziś czwartek!

— Tak.

— Okręt transaltycki wychodzi w sobotę. Mam czas dojechania do Hawru zanim wyjedzie.

— Jadę z panem.

— Nie, zostaw mi pan samemu to cierpienie. Jedź pan do Boulogne; może wybrała inną drogę i uda się do Anglji. Przyślę panu telegram z Hawru... Do zobaczenia.

— Pożegnasz się pan ze mną w Boulogne.

Powóz, którym pan de Somery przyjechał, czekał w dziedzińcu, wsiedli doń obadwaj.

XVI.

Nazajutrz pan de Somery był w Hawrze.

Rozpoczął ścisłe poszukiwania po wszystkich hotelach, wszystko na próżno. Zwiedził nawet wszelkie mniejsze w prywatnych domach mieszkania, myśląc, że pani de Moranes, nie posiadająca wielkich funduszów, zapewnie będzie oszczędzała na podróż i pierwsze wydatki urządzenia się w Ameryce.

Nie wątpił, że uda się do Ameryki.

Gorliwość w tych poszukiwaniach, obawa jaka nim miotała przez cały piątek, napawały go myślami i marzeniami egoistycznemi. Wystawiał sobie, że skoro Wiktorją odszuka, znajdzie dosyć słów wymownych i serdecznych, nie żeby ją skłonić do powrotu do męża, lecz aby ją ubłagać, by pozwoliła mu towarzyszyć do Ameryki. Poszliby na koniec świata, by ukryć się tam z swoją miłością. Wmawiał w siebie, ze gdy strząśnie ze siebie ów przymus klasztorny, surowy, który narzuciła swemu sercu, powróci do słów, jakie się wcisnęły do jej listu. Ona go kochała, to było rzeczą widoczną, teraz pokocha go zupełnie uwolnioną z więzów daleko od świata.

Nie mając przy sobie pana de Rosey, Somery znajdował, że logika sędziego była surową i pedancką. Oddać panią de Moranes temu uczonemu, niezdolnemu szlachetnie przebaczyć, było rzeczą straszną, byłoby świętokradztwem, byłoby to skazaniem jej na wieczne męczarnie.

Gdy jednak wieczór nadszedł i nigdzie śladu pani de Moranes nie znalazł, pan de Somery przestraszył się, że samolubstwo jego ukaranem zostanie. Wyższość umysłowa nic tutaj nie pomaga; wielka miłość nie obędzie się bez przesądów i ten człowiek światowy stawał się zabobonnym i bał się, że zawinił w obec Opatrzności, gdy tylko prawa swej miłości i swego szczęścia miał na względzie. Był dwa razy w ciągu dnia w biurze okrętowem i za każdym razem, czy to przez wzgląd na dystyngowaną postawę, czy za pomocą pieniędzy, dozwolono mu przejrzeć rejestr zapisanych pasażerów.

Aż do ostatniej chwili przed odpłynięciem, miał nadzieję, że spostrzeże nazwisko pani Bardin lub inne jakie, pod którym odkryje pseudonim. Ale godzina odjazdu zbliżyła się i nie odkrył żadnego śladu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

ODYSSEA BALONOWA.

W zeszły wtorek w Nizzy puszczał się balonem „*Gabriel*“ areonauta kapitan Jowis, podporucznik Vivier i Allioth, naczelny redaktor gazety *Phare du littoral.*

Dzień był chmurny, ale balon szybko wzbił się po nad obłoki, kąpiąc się w promieniach słońca...

Podróżni napawali się przecudną panoramą niknącej pod ich stopami ziemi.

Cudny krajobraz zacierał się zwolna i znikł zupełnie; zdala tylko dostrzedz było można śnieżysty rąbek Alp...

Wypuszczono dwa pocztowe gołębie zabrane z Nizzy.

„Wysokość barometru 58, termometru 22 st. Przecudna panorama. Widzimy Szczyty Alp i po za niemi Szwajcarję. Oglądaliśmy widmo balonu. Jesteśmy zdrowi i weseli. Do bliskiego zobaczenia“.

Taką wieść o sobie przesłali żeglarze.

Po godzinie pomyślnej podróży spostrzegli nagle, że „*Gabriel*“ szybko opuszcza się ku ziemi.

Wyrzucili więc kilka worków ballastu.

Napróżno...

Przypłynęli warstwę obłoków i widzą, że balon unosi się nad morzem.

Wyrzucają więc resztę piasku, ale balon nie przestaje spadać i spadać.

— Baczność! — woła p. Jovis — i w tejże chwili łódź balonu dotyka już powierzchni wody.

Statek zanurza się parę stóp w morzu i znów nagle podrywa się ku górze.

Ewolucja ta powtarza się kilka razy.

Położenie staje się groźnem...

Zdala tylko jeden żagiel sunie po morzu.

Wiedzeni instynktem zachowawczym podróżni wyrzucają z kruchej swej łodzi wszystko co ma jakąkolwiek wagę.

Ale gaz z balonu uchodzi — łódź pada na fale morskie i już unieść się nie może.

Tymczasem podniósł się wiatr i pędzi rozbitków na pełne morze.

Płyną więc w tem rozpaczliwem położeniu, a tymczasem i noc się zbliża — światło dzienne słabnie, a z niem i nadzieja ocalenia...

Żeglarze pogrążają się coraz głębiej w wodzie.

Mają jej po kolana, po pas, po szyję; chwila jeszcze, a zginą w odmętach morza...

Wołania i krzyki rozpaczy nie znajdują echa.

Milczenie dokoła.

Nagle w zmroku wieczornym dają się słyszeć głosy ludzkie.

Widzą szalupę, ale wzburzone fale nie pozwalają jej zbliżyć się do tonących.

Chwilę jak wieki długą trwa walka z rozhulanym żywiołem — nareszcie rozbitkom udaje się pochwycić rzuconą im linę...

Trochę jeszcze — a byliby zginęli, bo zdrętwiałe przez kilkogodzinny pobyt w zimnej wodzie członki, omawiają im posłuszeństwa.

W godzinę potem byli już na pokładzie włoskiego statku, który około północy przywiózł areonautów do Monaco...

TRAGEDJA NA MASKARADZIE.

Na ostatnim balu maskowym w operze paryskiej zwróciło na siebie uwagę czarne domino, które widocznie osłaniało młodą kobietę z lepszego towarzystwa...

Domino unikało wszelkiego zetknięcia z innemi maskami, milczało uporczywie i zająwszy miejsce po jedną z kolumn naprzeciw głównego wejścia, stało tam jakby przykute do posadzki.

Wielkie wzruszenie młodej tej kobiety zauważyć mogli wszyscy...

Naraz u wejścia pojawiła się młoda para, zajęta rozmową prowadzoną w sposób, po którym byłby się domyślił każdy, iż są to kochankowie...

Czarne domino na widok ich zadrżało i poskoczywszy ku nim zerwało maskę z twarzy mężczyzny wołając:

— Teraz już mam przecie dowód, iż mnie oszukujesz!..

Po tym okrzyku domino zachwiało się i runęło na posadzkę.

Obecni przypuszczali zrazu, że to tylko omdlenie, kiedy jednak przywołany lekarz odsłonił suknie biednej zawiedzonej, pokazało się, że utopiła ona sobie nóż w piersi i ciężko się zraniła.

Jest jednak nadzieja, że ofiara ta miłości będzie utrzymana przy życiu...

PO PAŃSKU...

Rasa miljonerów pozwalających sobie na wybryki nie wyginęła, przynajmniej w Ameryce.

Jeden z jankesów, znany bogacz, Bennet, wydawca *New York Heralda*, przybywa obecnie ze swoją żoną w południowej Francji, w Pau.

Otóż kilka dni temu wiedeński król tańców Johann Strauss odebrał od amerykańskiego obywatela depeszę, ażeby zechciał z orkiestrą przyjechać do Pau i grywał tam codziennie przez miesiąc wyłącznie dla obojga państwa Bennetów; przytem proszono go o zakomunikowanie warunków.

Wiedeńczyk zażądał sto tysięcy franków...

Dzięki tedy tej fantazji amerykańskiej damy, mieszkańcy Pau na cały miesiąc pozbawią wiedeńczyków jednej z ich znakomitości...



Z dzisiejszym numerem kończy się prenumerata kwartalna na „*Świat powieściowy.*“ Dla uniknięcia zwłok w przesyłce upraszamy o wczesne odnowienia przedpłaty.

Prenumerata za drugi kwartał . . . 2 złr.
„ do końca roku . . . 6 złr.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.